

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży

Z DODATKIEM KSIĄŻKOWYM.



Przed Królową Niebios świętą
Wiosna z barwnym wieńcem kłęka...

M A J.

Oto wiosna! — Maj nadchodzi,
Zagrał wietrzyk na lircie
Świeżych listków... Bracia młodzi
Serca wznieśmy — ot — w piosence!

Idzie wiosna lasem — borem,
Po przez błonia, pola, łąny,
Idzie rankiem i wieczorem
Przez nasz smutny kraj kochany. —

Praca wielka, trud jej zbożny; —
Wszystko wzywa wiosny ręki...
Kędy stoi krzyż przydrożny,
Pierwszych kwiatów składa pęki.

Gdzie w kapliczce na rozstaju
Najświętsza czeka Panienska,
Nim lud przyjdzie śpiewać w maju,
Wiosna z barwnym wieńcem kłęka.

Chyli jabłoń skroń różową,
Wiśnia białym kwiatem chwieje,
Nowe życie z wiosną nową
Budzi wiarę i nadzieję!

Dawno siane złote ziarno
Na ojczystych wschodzi polach,
Słońce suszy ziemię czarną
Z łez — po bólach i niedolach.

Barwnym tłumem raźnie rosna
Polne kwiaty na ugorze...
Święta, cicha, polska wiosno,
Niechaj Bóg ci dopomoże!

BOŻYMIR.

EDMUND JANKOWSKI.

Płodność ziemi.

Przed wiekami słynęła z żyzności Sycylia, zwana śpichlerzem Italii. Niemniej też słynną była z urodzajności „ziemia obiecana” — Palestyna. Wszak z niej to jedno winogrono dwóch ludzi nieść musiało na drągu, tak było ciężkie. Mówiąc nawiasem, znamy i dziś odmianę winorośli zwaną przez francuzów „Terre promise” (ziemia obiecana), o gronach dochodzących niekiedy przeszło łokciowej długości, które jednak tak ogromnej wagi nie posiadają.

Ale z czasem te słynne z urodzajności ziemie zmieniły się w jałowe skały i pustynie, pokryte zaledwie ubogą i nieużyteczną dla ludzi na pokarm roślinnością.

I odwrotnie: ziemie z natury chude i nędzne, jak np. Brandenburgia lub nadmorskie wydmy Danii, dziś słyną jako role urodzajne, żywiące i ludzi i zwierzęta.

Nie potrzebujemy zresztą tak dalekich przykładów, mamy je bowiem bliżej. Na południe od Warszawy leży wieś Czerniaków. Gdy piszący to, będąc jeszcze dzieckiem, z rodzicami udawał się tam na majowe odpusty (na św. Bonifacego), wiorstami całymi brnął w głębokim piasku.

Obecnie na tych piaskach rodzi się śliczne żyto i wyborne ziemniaki, a ziemia z płowej, zmieniła barwę na prawie czarną.

Są to fakty, nad którymi warto się zastanowić.

Żeby ziemia rodzić mogła, to jest żywić i wychowywać rośliny, zwłaszcza użytkowe, musi zawierać w sobie pokarmy dla nich potrzebne. Więc przedewszystkiem związki azotowe, a obok nich sole mineralne potasowe i fosforowe, wapienne i inne, mniej ważne. Te pokarmy mineralne muszą się znajdować w ilości dostatecznej w całej ziemi uprawnej, czyli dla roślin dostępnej, jednostajnie rozłożone, żeby je korzonki żywiące roślinę, wszędzie łatwo znaleźć mogły. Nie dosyć na tem. W takiej roli musi być jeszcze sporo próchnicy, która składa się głównie z węgla, a ten w zetknięciu z powietrzem (właściwie tylko z tlenem) spala się powoli, lecz ciągle. Ciepło stąd powstające ogrzewa ziemię. Jednocześnie w próchnicy tej gromadzą się pożyteczne dla roślin gazy, a zarazem jest ona zbiornikiem wody, którą pije tak chciwie, jak dziurkowata gąbka.

Jeżeli będziemy wiedzieli, że rośliny zawierają w ciele swoim wody co najmniej 80% przeciętnie, a często nawet więcej, zrozumimy, jak ważnym warunkiem ich istnienia, jest wody dostatek.

Oprócz tego wszystkiego, ziemia musi być uprawiana, t. j. w pewien sposób i w pewnych porach poruszana narzędziami do pracy w niej służącymi, (pługi, brony, różne łopaty, motyki, grabie).

Przez taką uprawę mechaniczną, części jej rozpulchniają się, pomiędzy nie mogą się łatwiej dostawać powietrze, inne gazy i woda, a korzenie mają ułatwione pobieranie pokarmów, w wodzie rozpuszczonych i oddychanie, bez którego się duszą.

Badania ostatnich lat kilkunastu przekonały, że w ziemi nawożonej i uprawianej gnieźdzą się niezliczone zastępy żyjątek drobnowidzowych, których zadaniem jest pośredniczenie pomiędzy ciałami mineralnymi, ażywionymi. Żyjątka te (bakterye) rozkładając ciała mineralne i związki chemiczne (białkowe), przygotowują dla roślin pokarm, w wodzie rozpuszczalny.

Pokarmy zaś mineralne muszą być koniecznie w wodzie rozpuszczone i to w dużych wodach ilościach, bo inaczej do ustroju roślinnego dostać się nie mogą. Jest on cały zamknięty, okryty naskórkim, dla ciał stałych nieprzenikliwym, ale woda do niego przenika na mocy przesiekania, czego tu bliżej w tej chwili wyjaśniać nie będziemy.

Więc czemuż jedno ziemie niegdyś bardzo urodzajne, dziś są pustyniami, gdy inne chude i nędzne, zamieniły się w role żyzne i żywiące? Zaniedbanie i nieumiejętność sprawiły jedno — praca rozumna i wytrwała — dokonała drugiego.

Do Adryatyku nie można dojechać inaczej, tylko przez dzikie, jałowe góry i usypiska wapienne, zwane Krasem (Karst). Jestto wzburzone morze szarych lub białawych kamieni wapiennych, rumowisk i skał, obnażonych zupełnie lub zaledwie widoczną, koleczastą i kutnerowatą roślinnością rzadko pokrytych.

Bujną zieloność widzi się tylko w nielicznych wgłębieniach, zwanych i tam „dolinami”, boć to kraje także przez Słowian zamieszkałe.

Lecz podanie niesie, że niegdyś, przed wiekami, te dzikie i obnażone skały były porośnięte niebotycznymi lasami dębów, buków kasztanów słodkich i jodeł. Przy kopaniu, między szczelinami, jeszcze i teraz odnajdują tam niekiedy potężne korzenie tych olbrzymów, napoły spróchniałe.

Gdy się ludzi namnożyło, lasy te wycięto i spalono, nie myśląc o natychmiastowym odnowieniu ich, co dałoby się łatwo zrobić, przy częściowym wyрубie i zaraz po nim następującem zasadzeniu nowymi drzewkami.

Gdy pnie drzew ścięto, wtedy podścielisko leśne obnażono na działanie gorącego południowego słońca. Promienie jego wypłyły wilgoć z próchnicy leśnej aż do głębi; potem przyszły wiatry i sproszkowaną tę próchnicę rozwiały w przestrzeń. Pozostała tylko naga skała, stanowiąca tu rodzime podłoże dawnych borów i dąbrów.

Teraz miejscami próbują znów sadzić lasy i praca ta udaje się, ale połączona jest z wielkimi kosztami i trudnościami.

Sycylia, Palestyna, Krym i inne okolice, póty były dla ludzi śpichlerzami, póki ziemię uprawiano, nawożono i *zalewano*. Gdy niestało wody, gdy części pożywne zostały wytrawione—pozostała tylko dzika pustynia tam, gdzie przedtem rodził się chleb i wino.

A teraz zwróćmy oczy w stronę pokrytą chudym, żółtym piaskiem, po którym nawet wielkie deszcze zlewają się jak po tłuszczu, nie przenikając w głąb. Przy pomocy nawozów zwierzęcych i mineralnych, siewając dobroczynny łubin, który ziemię wzbogaca w azot, z powietrza chwyтany i w próchnicę, także z będącego w powietrzu dwutlenku węgla przez zielonych liści wytworzoną, powoli, stopniowo zamienia się te nieużytki w rolę. Żywią się na niej zwierzęta domowe, dostarczające mleka, mięsa i nawozu; rodzi się na nich żyto i ziemniaki—te dwa podstawowe pokarmy ludzkie. I oto tam, gdzie dawniej zaledwie sosna lub brzoza utrzymać się mogła, widzimy wkrótce zamożne ludzkie siedziby, otoczone wiankami sadów i gajami drzew, które od pioruna i ognia bronią, cienia użyczają, dostarczają dREW na opał i materiału na budynki.

Taki jest wpływ pracy ludzkiej. A jak Mojżesz podtrzymywał zwycięstwo izraelitów, dopóki miał ręce ku niebu wzniesione, tak i ziemia rodzi dopóty, dopóki człowiek w niej i na niej pracuje umiejętnie, celowo i wytrwale, dopóki jej dogadza.

Czy jednak mamy prawo powiedzieć, że ziemia jest pusta i jałowa, a jedynie ludzka praca ma wartość, bo ona ją użyźnia, jak to głoszą nieraz socjaliści? O nie! Człowiek jest tu tylko pośrednikiem; może on dopomódz, by się połączyły warunki, potrzebne do uczynienia ziemi płodną. Lecz życia on nie tworzy nigdy i nigdzie. Nie on stworzył cudowne nasienie, nie on jest przyczyną jego wschodzenia. Nie on daje budowę odpowiednią każdemu narządowi, budowę celową, tak zewnętrzną, jak jeszcze bardziej zdumiewającą wewnętrzną. Chwyтanie i przemiana materii martwej wżywioną, powstawanie w małej komórce wytworów, którym nadano nazwy krochmalu, cukru, białka i t. p. wędrówki i przemiany tych ciał, ich

składanie tam, gdzie będą później do wzrostu rośliny lub zwierzęcia potrzebne; cudowne kwitnienie, zapylanie, powstawanie owocu i nasienia dla każdej rośliny różnego, a nadewszystko ta niepojęta moc, z której każdy twór rośnie i rozwija się obok innych na swój osobliwy sposób, że jest sobą, choć może w pokoleniach dalszych ulegać przemianom i udoskonaleniom—oto są cuda. Cuda od człowieka niezależne w zupełności, a w istocie swej i głębokiej treści, ani nie podpatrzone, ani dla niego całkiem niezrozumiałe.

Filozofowie zwali ich przyczynę „tajemniczą siłą“, przypisywaną to nieznanym bóstwom, to energii utajonej, to jakimś czynnikowi nazwanemu przez nich „siłą życia“. Uczeni prawdziwi dzisiejsi przyznają, że ta nieznana „siła życia“ jest zagadką nierozwiązalną. Świat chrześcijański, a z nim niemało innych ludów, wierzy, że jedyną siłą, która ożywia wszystko, kieruje i rządzi wszystkiemi, która nakazując rosnąć i przemieniać się materii, jednocześnie doskonali formy i prowadzi do coraz wyższych zadań tak świat cały, jak i ludzkość,—jest Bóg, Wszechmogący, nieznany i przez ludzi ich ograniczonym rozumem, niepojęty.



Wspomnienia z lat młodości.

przez St. Br.

(Ciąg dalszy.)

Jak później dowiedzieliśmy się, bitwa była gdzieś aż za Wisłą, bardzo daleko. Tak się to żyło wówczas, ale choć odczuwano wszystko głębiej i prawdziwiej niż teraz, nie było tej denerwującej gorączki, tego jakiegoś chorobliwego rwania się i targania, jak obecnie.

W parę tygodni potem, kiedyśmy wyszli raz na spacer do parku, zatętniło na dziedzińcu i wpadło trzech kawalerzystów. Panie zmieszły się trochę, ja wybiegłem na dziedziniec, a poznawszy z daleka swoich, krzyknąłem tylko: „nasi!“. Byli to pierwsi nasi w Nałęczowie. Boże mój! jak pobiegły do nich moje panie na przełaj, bez ścieżek!

Tymczasem ułani zsiadli z koni i, prowadząc je, ruszyli ku dworowi. Konie mieli dobre, białe szerokie szable, karabinki na plecach, rewolwery w olstrach. Ubrani byli w popielate

bluzki, z żółtymi kołnierzami i takimiż naszywkami, na bluzach mieli paski, a przy nich z lewej strony pałasz, z prawej zaś rewolwer w olstrze. Słowem, wyglądali dzielnie.

Oświadczyli zaraz, że proszą o przygotowanie żywności dla V oddziału wojsk narodowych województwa lubelskiego, a potem siedli na konie z całą wprawą wytrawnych kawalerzystów i ruszyli dalej.

Zakipiało tedy we dworze jak w garnku, zadymiły kotły i ognie, nad którymi ustawiono natychmiast ogromne rożny z całymi kawałami mięsa; pędem sunął kucharz z kuchcikami, nakładając po drodze swoje białe kitle; stara Jeżewska, gospodyni, słowem i gestem, komenderowała całą swoją armią dziewcząt, ze spiżarni wytaczano beczki z solonem mięsem; rzemieślnicy i oficjaliści ze zwiezionych i znoszonych tarcie ustawiali improwizowane stoły niezmierniej długości, a stary kredencarz z powagą, choć płacząc z rozczulenia i powtarzając ciągle:—mój Boże! mój Boże!—kierował nakrywaniem stołów.

Sprawiono się doskonale, tak że w niespełna pół godziny było co jeść i na czem, a przynajmniej można było zaczynać jeść. Po chwili na górze za parkiem zamajaczył oddział kawaleryi, rozstawiając co parę tysięcy kroków pikiety, któremi też w odległości paru wiorst całą wieś i dwór otoczono.

Po chwili usłyszeliśmy z daleka gromki śpiew:

„Jak nie mamy żyć wesoło“, i na dziedziniec wjechał oddział kawaleryi, za nim porządnie „z nogi“ szli strzelcy kompaniami, z podoficerami na flankach, porucznikami z przodu; za nimi żuawi, potem kosynierzy, potem furgony, znowu strzelcy. Arjergardę zamykała kawalerya. Ale jakaż różnica wyglądu w porównaniu z partią Czerwińskiego i Żarplachty!

Tam oprócz kompanii Galicyan umundurowanej i uzbrojonej w karabiny, reszta była ubrana i uzbrojona jak Bóg dał.

Tutaj zaś tak piechota, jak kawalerya, cała umundurowana, uzbrojona, zupełnie inaczej wyglądała. Piechota miała te same belgijskie karabiny (do połowy lufy 6-cio kątnie) z długimi płaskimi bagnetami, czarne skórzane ładownice, a kawalerya tegoż systemu kawaleryjskie karabinki, krótsze i bez bagnetów, szable i rewolwery systemu Adams'a. Rewolwery te, 6-cio strzałowe, długie i ciężkie, nabijały się tak jak zwykła broń. W dziury bębena nasypywał się proch, potem wsadzało się kule, które przybijało się stempelkiem przytwierdzonym z boku pizy lufie, na szarnirze, wreszcie nasadzało się pistony. Cała ta procedura nie łatwa do wykonania, zwłaszcza na

koniu trwała dość długo, za to rewolwery te były daleko i nader celnie. Ostatecznie w praktyce, rzadko się zdarzała okazyja wystrzelenia w boju nawet wszystkich 6-ciu strzałów, albowiem zwykle po paru strzałach dochodzi już do bliższego stosunku i znajomości z bronią białą, z tem, co tnie!—Zobaczyłem także pana naczelnika, znanego pod nazwą „Ćwieka.“ Był nim pan Kajetan Cieszkowski, właściciel Starościna. Z ogromnymi wąsami, prawdziwy typ naczelnika partyi. Na dzielnym koniu, na którym, jak to odrazu zauważyłem, doskonale siedział, z adjutantem z boku, wspaniale wyglądał, był to człowiek odważny, szczery, dobry Polak, i miał tyle taktu, że nie przeszkadzał rzeczywistemu komendantowi, którym był major Murdeljo (podobno Amurd).

Ten ostatni, jakby na przekór Ćwiekowi, mały, chudy, mizerny, tylko w oczach miał coś takiego, co nakazywało uszanowanie. Jemu to zawdzięczała partya porządek, karność i pomyslny rezultat tych bitw, które pod jego dowództwem były staczane. Mówiono, że to był oficer generalnego sztabu austriackiego, spolaćwały Serb, czy Węgier. Jakie zaś tam było jego pochodzenie i prawdziwe nazwisko, nie wiedzieliśmy.

Co pewne, że był to prawdziwy żołnierz z krwi i kości, znający swój fach świetnie i oddany mu duszą i ciałem, a przytem człowiek prawdziwie lwiej odwagi. Przywiązałem się też do niego tak, że byłbym na jego skinienie w ogień poszedł, a no, i nie raz szedłem, ale o tem potem.

Tymczasem lustrowałem sobie wszystko, no i zaraz zauważyłem, że władza w rękach pana majora, on bowiem bystrem okiem opatrzył wszystko, do niego przychodzili oficerowie po rozkazy i t. d.

Partya okrutnie mi się podobała, więc postanowiłem do niej wstąpić, ale jak to zrobić? Wiedziałem dobrze, że wszyscy moi podbuntują naczelnika, żeby mnie nie kazał przyjmować, ale widziałem też, że tak są wszyscy zajęci, że o mnie zupełnie zapomnieli.

Korzystając z ogólnego zamieszania, pobiegłem do swego pokoju, wyjąłem zaszyty pod podszewką ów urlop, który mi pani Bezirks-hauptmanowa wręczyła w Uhnowie i, wyskoczywszy przez okno, przeszedłem przez groblę na drugą stronę stawu, gdzie koło budynku byłej cukrowni stała część piechoty. Karabiny były w kozłach, a przy nich warta, żołnierze jedli obiad.

Na zapytanie: kto dowodzi kompanią, odpowiedziano mi, że pan porucznik, który znajduje się w sąsiednim budynku.

Pan porucznik, któremu oświadczyłem, że pragnę się zaciągnąć do szeregów, zaczął znane już kazanie, że on do szeregów dzieciaków nie przyjmuje, i t. d. i t. p. Ja jednak, wysłuchawszy tego wszystkiego z odpowiednią pokorą i nie mówiąc ani słowa, podałem mu swój urlop.

— Jako żołnierz nie mam prawa nie słuchać rozkazów mojej władzy! — rzekłem.

(d. c. n.)

W PODWALINACH.

Wiosna 1791 r. przepełniona była uroczystościami, rokującemi wielkie nadzieje.

Brzmiały wciąż radosne okrzyki, kraj cały upajał się dźwiękami pieśni, płynących na cześć *Ustawy 3 maja*. Warszawa zaś postanowiła uczcić nadane prawa wystawieniem świątyni pod nazwą *Boskiej Opatrzności*. Na rozpoczęcie budowy i położenie kamienia węgielnego pod rzeźbiony kościół wyznaczono dzień Ś-go Stanisława, t. j. 8 maja, jako dzień imienin Stanisława Augusta i marszałka Stanisława Małachowskiego. Nabożeństwo w kościele Ś-go Krzyża było początkiem uroczystości.

Młodzież ze szkoły rycerskiej czyli kadetów wraz ze swym głównym protektorem ks. Adamem Czartoryskim, generałem ziem podolskich, otaczała tron króla, jako straż.

Po ukończeniu nabożeństwa i świetnej przemowie ks. Witoszyńskiego, król, jadący konno, całe jego otoczenie i nieprzejrzały okiem tłum ludu ruszył w stronę dzisiejszego ogrodu botanicznego. Zatrzymano się przy zejściu do Łazienek, gdzie miała być wzniesiona pamiątkowa świątynia.

Rozkopana ziemia pod fundamenty i gotowi do budowy murarze oczekiwali przybycia monarchy.

Król, zsiadłszy z konia, zbliżył się do miejsca przeznaczonego na świątynię, odebrał z rąk Małachowskiego spisana na pergaminie Konstytucją 3-go maja i wraz z aktem rozpoczęcia budowy kościoła złożył ją w szklanej bani, a umieściwszy własnoręcznie w fundamentach, złotą kielnią pierwszą wmurował cegłę. Za przykładem monarchy poszli otaczający go panowie, strojne damy, nawet dzieci i kto tylko żył ciśnień się, żeby do fundamentów pamiątkowej świątyni choć garskę piasku dorzucić!

Na kościele zaś tym miał widnieć napis:

*Pod wezwaniem Boskiej Opatrzności
na pamiątkę Konstytucji 3-go maja 1791 roku. *)*

* * *

*) *Gazeta narodowa i obca* d. 11 maja 1791 r.

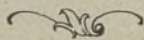
Nagle zarwała się szalona burza...

Potem tyle innych burz przeciągnęło...

W miejscu zaś, gdzie się miała wznosić wspaniała świątynia pozostała kupa gruzów.

Lecz w ich podwalinach znajduje się akt, który wszystkie polskie serca przepełnia nadzieją.

Z. Morawska.



Największy z naszych ptaków.

Największym z ptaków europejskich jest *drop*. Tłuste samce dochodzą do czterdziestu kilku funtów wagi, a choć skrzydła ich nie są wielkie stosunkowo do takiej wagi, za to posiadają nadzwyczaj silną muskulaturę, niezbędną dla podniesienia w górę takiego ciężaru. Lecz oprócz wzrostu i siły drop ma także wiele sprytu, dla tego zapoznać się z nim warto.

Kolorem upierzenia, lotem, szybkim ruchem skrzydeł, chowaniem się — jakby rozplaszczaniem na ziemi — drop przypomina kolosalną przepiórkę. Samiec, ozdobiony wspaniałymi wąsami, ma groźną minę, i w istocie, jeśli widzi, że się ucieczką uratować nie może, to i na człowieka napada. Zdarza się czasem na polowaniu, że postrzelony stary samiec uderza tak gwałtownie na myśliwego, iż nie da mu strzelby nabić i zmusza do sromotnej ucieczki.

Karmi się młodą trawą, ulubionym zaś pokarmem jego jest młoda ozimina. Dla roztarcia tego pokarmu, którego mnóstwo pochłania, połyka kamyki wielkości włoskiego orzecha, a że w stepach kamieni niema, więc czyni to w ziemi w Turkestanie, Krymie, i t. d. gdzie zimuje, i gdzie umyślnie robi wycieczki, aby znaleźć kawałki krzemienia.

W lecie zamieszkuje miejscowości stepowe w południowej Rosyi, głównie czarnoziemne gubernie: chersońską, ekaterynosławską, charkowską, połtawską, południową część czerernihowskiej, i podolskiej, t. j. tak zw. Pobereże, gdzie do późnej jesieni przebywa, a dopiero z nastaniem wielkich śniegów i mrozów, na południe do Krymu, północnej części stepowej Kaukazu na krótki czas odlatuje, gdyż jak tylko ozimina dobrze się zaruni, powraca.

Drop gnieździ się w zbożach, skąd jednak na dobry czas przed żniwami potomstwo wyprowadza. Jaja niesie szare, centkowane, wielkości indyczych, ale tak je doskonale ukrywa, że ich się prawie nigdy nie znajduje, chyba jakieś zepsute, a i to niesłychanie rzadko. Już w czasie żniw młode dropiątko dochodzi wielkości gęsi i jest bardzo smaczne, więc i po-

szukiwane, ale prawie nigdy znaleźć go nie można, gdyż matka tak sprytnie zwodzi myśliwca, że go zawsze w pole wyprowadzi.

Drop jest niesłychanie ostrożny i mądry, wybiera takie miejsca odkryte, gdzie na wszystkie strony na horyzoncie ani wsi ani lasu nie widać. Umie się tak chować, zwłaszcza jesienią w podorywce przywarować, że go najwprawniejsze oko od roli nie odróżni. Jadącemu bez broni daje się na kilkadziesiąt kroków zbliżyć, ale nawet najlepiej ukrytą broń z daleka przeczuje i w tym razie już na kilkaset kroków się zrywa. W jesieni żyje wielkimi stadami pod strażą stojących na pikietach starych samców, które w razie niebezpieczeństwa całą kompanię alarmują krótkim, gardłowym okrzykiem.

Poluje się na dropie albo ze sztucców, celnych karabinów, albo podjeżdżając wołami, co się jednak rzadko udaje, gdyż mimo najstaranniejszego ukrycia się myśliwca w słomie, dropie zwłaszcza w stadzie wroga swego przeczuja. Niekiedy gdzieś wypadkiem pojedynczą sztukę zjechać można, a najlepiej z naganką, której cała strategia oparta jest na kierunku lotu dropiów.

Drop leci zawsze pod wiatr, ale nie wprost, na sztych, lecz pod kątem około 30° stopni wynoszącym, czyli — bierze wiatr „pod skrzydło“, należy więc odpowiednio rozstawić myśliwych.

W tym celu o kilka wiorst od zauważonych dropi objeżdża się je. W odpowiednim miejscu myśliwi „zapadają“, t. j. podczas ruchu podwód z przeciwnej strony zeskakuja i padają na ziemię w zagłębienia lub rowy, za kupkami burzanu. Raz upadłszy, już się ruszyć nie mogą, bo mądry drop zaraz ten ruch zauważy i zapamięta, tak, że w tym kierunku nie polecą. Wtedy z drugiej strony konno, z krzykiem i strzałami szarżuje na nich naganka, dropie zrywają się i z ogromnym świstem i szumem, lecą wprost na myśliwych, o ile ci umiejętnie zapadli, a doświadczony dropiarz, (guńka) dobrze kierunek lotu przeczuł.

Myśliwi bez względu na nic „trupem“ leżeć powinni, dopiero po naprężeniu świstu skombinowawszy, że dropie tuż, mogą się zrywać i strzelać.

Polowanie to jest trudne i pracowite, ale nadzwyczaj interesujące i w rezultatach owocne, lecz tylko dla wytrawnych, prawdziwych myśliwych dostępne.

Późną jesienią, gdy dropie są ciężkie i tłuste, można na nie polować z dobrymi chartami.

W czasie gołoledzi, gdy im skrzydła obmarzną, można je brać żywcem.

W ogóle im brzydsza pogoda, wiatr i deszcz, tem polowanie lepiej się udaje, więc takich dni, kiedy jak mówią Małorusi: „chrzczony człowiek“ psa by na dwór nie wypędził, dropiarz z upragnieniem i radością oczekuje.

Zabite dropie trzeba natychmiast na polu patroszyć, czyli z wnętrzości wyczyścić, przy tem owe kamyki w żołądku u dwulatek znalazłszy, starannie się „na szczęście“ chowa.

Po oskubaniu i odcięciu skrzydeł i łap, trzeba dropia (szczególniej w późnej jesieni) zakopać w ziemię najmniej na jedną dobę, inaczej go traniem czuć będzie. Piec go najlepiej na rożnie. Mięso jest nadzwyczaj smaczne, połowa piersi na dziesięć osób obficie wystarcza. Skrzydła rozpięte na deskach i wysuszone, jako ozdoba pokoju służą, przypominając zupełnie owe skrzydła przez husarzy polskich noszone; łapy służą jako rękojście



Drop (*Otis tarda*).

do nahajek.

Siła tych ptaków jest bardzo wielka, ranny drop uderzeniem skrzydła może złamać rękę człowiekowi. Z jednym dropiem zdarzył się raz taki wypadek:

Pewni państwo w gub. Kijow. mieli wielką chęć posiadać żywego dropia; otóż, gdy w czasie gołoledzi udało się złapać wspaniały okaz, służba wsadziła go do kosza, zaszyła szczelnie płótnem i wysłała koleją z umyślnym posłaniem do miasta. W nocy drop złamał kosz i wypadłszy, cały wagon pasażerów rozpędził.

Zrobił się alarm w pociągu i z trudnością udało się służbie konduktorskiej szynelami go obezwładnić. Zwiąawszy nogi i skrzydła, wsadzono go napowrót do kosza i odwieziono na miejsce przeznaczenia.

Drop jest zwierzę rozumne, kiedy widzi, że szans zwycięstwa niema, udaje pokornego



Koncert nad koncertami.

Jankiel gra na cymbałach w Soplicowie przed gen. Dąbrowskim i Książewiczem. (Rys. Andriolli. *Pan Tadeusz*, księga XII, rok 1812).

i łagodnego. Nasz ptak cały ten czas zachowywał się spokojnie po przyniesieniu do kuchni dawał się głaskać, rozglądając się tylko do koła. Gdy jednak mimo ostrzeżeń towarzyszącego posłańca, rozwiązano mu nogi i skrzydła, śnać zbadawszy dostatecznie miejscowość, jednym potężnym machnięciem skrzydeł przewrócił dwóch przypatrujących mu się chłopców, uderzył w okno i strzaskawszy środkową ramę, poszedł jak kula ku Dnieprowi. Tyle go widziano.

Opowiadający szczegóły tego zdarzenia kozak, ogromnie się dziwił: „Jakże to rozumne, darma szczo nocziu jichały, da i zakryto wezły, aż ono nikoho ne pytałoś za dorohu i samo naszło sobi, jak treba do domu jechały“.

St. Br.



JULIUSZ VERNÉ



Wśród Łotyszów.

Przekł. J. P.

(Ciąg dalszy.)

— Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie... przynajmniej tak, jakbym tego pragnął ze względu na Ozolina, który się zawsze cieszył najlepszą opinią...

— Dlaczegoż jednak zachowuje tak uparte milczenie co do swej podróży?... Dokąd jeździł i po co?... Widocznie bardzo mu zależy na tajemnicy, jeżeli nawet podobne oskarżenie nie zmusza go do wyznania prawdy!...

— W każdym razie zechce wasza ekscelencya pamiętać, że przypadek jedynie zetknął go z Pochem — i przypadek zawiódł ich obu do szynku „pod złamanym hakiem“.

— Niewątpliwie, pułkowniku, jest to argument wielkiej wagi... To też gdyby się Ozolin zdecydował wreszcie na szczerość...

— ...Ułatwiłoby mu to obronę... rozumiem... jednak milczenia za dowód winy uważać nie mogę... Nie wierzę, żeby Ozolin mógł być mordercą... pomimo iż noc z 13-go na 14-ty kwietnia spędził w szynku Kroffa.

Gubernator widział, że Ragenow sprzyja Ozolinowi. Zresztą i sam był tego zdania, że na wyrok potępiający jeszcze zawcześnie.

— W każdym razie — kończył rozmowę, przerzucając akta sprawy, prawdopodobieństwo winy jest wielkie... Ozolin nie przeczy, że jechał razem z Pochem... że nocował w pokoju, w którym znaleziono skrzywiony pogrzebacz...

A świeże rysy na ścianie zewnętrznej pod oknem?... A to wyjście przed świtem z szynku?...

Co do tego ma pan słusność. — zgodził się Ragenow. — Nie zapominajmy jednak, że cała przeszłość Ozolina jest bez zarzutu... Zresztą wybierając się w drogę nie wiedział wcale, że pojedzie razem z inkasentem Johansenów. Prawda, myśl rabunku mogła mu przyjść do głowy na widok pugilaresu, który Poch ostentacyjnie trzymał na widoku... Lecz tylko bardzo ciężkie położenie finansowe mogłoby popchnąć człowieka takiego jak Ozolin do tak haniebnych czynów... Wiemy zaś dobrze, że profesor prowadzi życie skromne, a dochód z lekcji na utrzymanie domu wystarcza mu zupełnie... Argumentacja Ragenowa była tak wymowna, że gubernator który pod wpływem posadzeń Verdera uwierzył prawie w winę Matiasa Ozolina, zachwiał się w swym przekonaniu. Po chwilowym namyśle odpowiedział:

— Czekajmy zatem na wyniki śledztwa... Może wpadniemy na trop inny, pewniejszy... Kerstrof na zaufanie zasługuje... Jeżeli nie kazał aresztować Ozolina, miał widocznie do tego powody słusne... W bezstronność jego wierzę najzupełniej... Gdyby się okoliczności zmieniły i wina profesora nie ulegała już wątpliwości, ja pierwszy wydam rozkaz uwięzienia...

W mieście panowało wzburzenie i niezadowolanie; większość uważała, że Ozolin powinien być osadzony w twierdzy — wszyscy się dziwili powolności i pobłażliwości Kerstorfa.

W domu profesora panował nastrój grobowy. Marta wiedziała już, jak straszne podejrzenie ciąży na jej ojcu. Przyjechał Jan i długo tulił siostrę w objęciach. Z oburzeniem opowiadał o wstrętnej scenie, która go wyгнаła z Dorpatu.

— Wierzę święcie w niewinność ojca!... — wołał z oczami płonącymi i zmuszę tego nędznika Karola do odwołania obelgi...

— Naturalnie, że ojciec jest niewinny — potwierdziła Marta, dumnie podnosząc głowę — któżby śmiał wątpić o jego uczciwości?... Nawet nieprzyjaciele otaczają go szacunkiem.

Oboje postanowili udać się niezwłocznie do kancelaryi sędziego. Tymczasem jednak nadbiegł doktor Paulin i konsul Delaporte, którzy się dowiedzieli w mieście o wezwaniu profesora na badanie.

Obecność przyjaciół, serdeczne ich słowa przyniosły pewną ulgę zrozpaczonemu dziecku profesora, dr. Paulin z trudem namówił ich do pozostania w domu.

— Wierzcie mi, że dużo lepiej zaczekać na ojca tutaj... zobaczcie, że Matias powróci za chwilę, oczyszczony zupełnie z wszelkich zarzutów.

— Cóż warta jest — mówiła Marta z goryczą przeszłość bez cienia zarzutu, jeżeli nawet od tak niecných posądzeń nie chroni?

— Przeszłość nieposzlakowana jest najlepszą obroną — zaprzeczył Jan.

— I rękojmią uczciwości — dorzucił Paulin. Gdyby nawet sam Matias przyznał się do winy, nie uwierzyłbym w to nigdy, lecz miałbym go za waryata.

Wreszcie profesor powrócił błądy i znużony. Dzieci rzuciły mu się na szyję, przyjaciele pośpieszyli ze słowami pociechy, wyrażając mu najgłębszy szacunek i niezachwiane zaufanie... Matias dowiedział się o strasznej zniewadze która spotkała Jana w obecności wszystkich kolegów — ostry ból ścisnął mu serce: jego syn ukochany nazwany został „synem mordercy“.

Z ulicy dochodziły okrzyki tłumy, piętnujące profesora i sędziego, który uwolnił zbrodniarza. Matias głosem przerywanym opowiadał o całym przebiegu badania, o spokoju i goności Kerstora, podejrzeniach majora Verdera.

W całym opowiadaniu przebijało, tyle niechęci do zagłębiania się w szczegóły okropnej sprawy i tyle znużenia, że wszyscy słuchacze zrozumieli, iż nieszczęśliwy człowiek potrzebuje samotności i wypoczynku. Paulin i Delaporte popożegnali się co prędzej obiecując przyjść nazajutrz. Natychmiast po ich wyjściu Ozolin usunął się do swego gabinetu, a Jan przeszedł do pokoju Marty.

— Umysły w mieście są bardzo wzburzone — mówił konsul do Paulina — nieprzyjaciele profesora nie dadzą mu spokoju, zanim policja prawdziwego winowajcy nie wysłedzi!

— Podzielam w zupełności obawy pana — odparł doktor — nigdy przecie w życiu tak nie pragnąłem wykrycia przestępcy jak tym razem... Niemcy z Johansenami na czele, wyzyskają śmierć Pocha w celach politycznych... Karol, nie czekając wyroku sądowego, nazwał Jana synem mordercy.

— O ile mi się zdaje, zatarg między Janem i Karolem jeszcze nie skończony... Znasz pan Jana!... Chłopak zechce się ująć za siebie i za ojca...

— Nie... nie — zaprzeczył doktor, — nie powinien zrobić teraz żadnego kroku... mogłoby to jeszcze pogorszyć sprawę... To ta przekłeta podróż winna wszystkiemu!... I po co Matias jeździł?...

Po co jeździł? Było to pytanie, które zadawali sobie nie tylko przyjaciele lecz Marta i Jan. Matias Ozolin w tej kwestyi żadnych wyjaśnień nie dawał.

Nawet po powrocie od sędziego nie zrobił najmniejszej wzmianki co do celu swej podróży, nie przytoczył pytań Kerstora, odnoszących się do sprawy. Rzecz naturalna, że tak uporczywe mil-

czenie wydawało się wszystkim co najmniej dziwnem. Nikt jednak nie wątpił, że powody zarówno tajemniczego wyjazdu jak i późniejszego milczenia były bardzo ważne.

Inaczej bowiem człowiek, stojący na takim świeczniku i szanowany powszechnie, nie byłby się wahał z wypowiedzeniem słowa, które go mogło oczyścić z tak strasznego zarzutu.

Tragiczny zgon Pocha był na ustach wszystkich mieszkańców Rygi i obudził współczucie ogólne. Najgłośniej oburzali się Niemcy, ubolewając nad tem, że w Rosyi kara śmierci dla przestępców kryminalnych zniesiona. Ciężkie roboty w kopalniach syberyjskich to przecież kara zbyt lekka dla tak wstrętnego zbrodniarza.

W rodzinie Johansenów wrzało. Nie zapomniano ani na chwilę, że skromny profesor, przypuszczalny morderca nieszczęśliwego Pocha, był przeciwnikiem politycznym potężnego bankiera.

— Oczywiście — powtarzał Franciszek Johansen, — Ozolin, wyjeżdżając z Rygi nie wiedział że podróż odbywać będzie w towarzystwie Pocha, ani też, że Poch wiezie ze sobą znaczne pieniądze. Z rozmowy jednak inkasenta z konduktorem dowiedział się o wszystkim... Po złamaniu osi wpadł na pomysł okradzenia Pocha i dlatego zaproponował nocleg „pod złamanym łakiem“, dla osiągnięcia swego celu nie cofnął się nawet przed morderstwem... Gdyby był niewinnym, jak to utrzymuje, nie byłby uciekał z szynku przed świtem, zamiast czekać powrotu konduktora. — Zresztą, powiedziałyby przecież dokąd się udał, gdzie i jak spędził trzy dni nieobecności w Rydze... O, lecz on tego nie powie!... Byłoby to bowiem przyznaniem się do winy... To jasne przecie, że dlatego zmykał z takim pośpiechem, aby ukryć skradzione pieniądze w miejscu bezpiecznym... W głębi duszy dodawał:

— Gdy przyjdzie chwila odpowiednia oświadczę głośno, że położenie finansowe profesora jest rozpaczliwe... Za trzy tygodnie upływa termin spłaty weksłu, — osiemnastu tysięcy rubli nie dostanie nigdzie... O prolongatę prosiłby daremnie... Odmówię bez litości!...

Rozumowanie to było bardzo charakterystyczne dla Franciszka Johansena, który od dziecka słynął z zawziętości. Wskutek starań majora Verdera, gubernator przystał na dokonanie rewizyi w prywatnym mieszkaniu profesora.

18-go kwietnia sędzia Kerstorf, major Verder i podoficer Eck w towarzystwie kilku policyantów zjawili się u Ozolina.

Matias nie protestował. Obrzucił wszystkich spojrzeniem wzgardliwym i tonem lodowatym odpowiadał na zadawane pytania. Policja przetrząsnęła starannie biurko i wszystkie szafy, porozrzuciła papiery, przejrzała korespondencję,

księgi rachunkowe. Przekonano się, że profesor nie posiadał żadnego majątku. Zarabiał na życie lekcyami. Co się tyczy sprawy kradzieży w szynku „*pod złamanym łukiem*“, rewizja żadnych rezultatów nie dała... poszlak nie znaleziono najmniejszych... zresztą, zdaniem Johanseńców, nie mogło nawet być inaczej... przecież złoczyńca miał trzy dni czasu na zatarcie śladów swego czynu...

Bankier miał wynotowane numery skradzionych biletów, lecz Kerstorf zadecydował; że okoliczność tę zachować należy w tajemnicy, złodziej bowiem po upływie pewnego czasu może się zgłosić do jednego z banków celem wymiany tych biletów.

Gdy całe stronnictwo niemieckie oburzało się na Ozolina, domagając się u władzy oddania go pod sąd, ludność łotewska, przeważnie robotnicy i drobni kupcy, stawiała w obronie profesora i gotowa była do walki z Niemcami.

Matias Ozolin nie tracił zimnej krwi i zachowywał spokój, nacechowany pewną wyniosłością. Ulegając prośbom dzieci i przyjaciół nie opuszczał swego mieszkania. Na ulicy bowiem mogły go spotkać zniewagi i wymyślenia niechętnych. Zamknięty w sobie i więcej milczący niż zwykle, dni całe spędzał w gabinecie przy pracy. Unikał wszelkiej wzmianki o sprawie Pocha i lekcye przerwał zupełnie. Nikt z uczniów do niego nie zaglądał. Doktor Paulin i konsul zachodzili codziennie na rozmowę z Martą i Janem. Matias bowiem najczęściej nie przychodził nawet na herbatę. Jakże smutne i ciężkie były te wieczory! Jak niepodobne do dawnych! Wreszcie goście się żegnali a Jan i Marta z sercem ścisnionem pozostawiali sami, nie mając odwagi przerwać samotności ojca, który nieraz do późnej nocy chodził po gabinecie dużymi krokami.

Naturalnie o powrocie Jana do Dorpatu nie było mowy. Któż mógł przewidzieć jak się zachowają koledzy?... Pewnym był tylko jednego Leja... Zresztą, nie chciał się narażać na spotkanie z Karolem.

— Ach ten Karol, ten Karol!... mówił nieraz do doktora Paulina... Przecież ojciec jest niewinny!... Prawdziwy winowajca pierwszej czy później zostanie wykryty... Lecz ja nie mogę czekać dłużej... Zażądam od Karola zadosyćuczynienia za wyrządzoną mi zniewagę...

Paulin z wielkim trudem zaledwie zdołał go uspokoić.

— Nie należy się tak gorączkować, mój Janku — mówił. Strzeż się nietaktu, który położenie może jeszcze pogorszyć. Bądź pewnym, że w chwili odpowiedniej nie będę cię powstrzymywał od spełnienia obowiązku. Lecz słowa rozsądku długo przebrzmiewały bez echa. Dopiero gdy

Marta dołączyła swe błaganie, Jan dał się przekonać i ostateczną rozprawę odłożył na później.

Od chwili powrotu do Rygi Matias Ozolin dwa razy dziennie z najwyższym niepokojem wyczekiwał listonosza, zapytując o listy. Otrzymywał tylko dzienniki.

Razu pewnego Marta zobaczyła, że ojciec otworzył drzwi i wygląda na ulicę, na której kręciło się kilku agentów.

— Oczekujesz listonosza, ojcie? — zapytała go.

— Tak, moje dziecko zdaje mi się, że się spóźnia dzisiaj.

— Ależ nie, mój ojcie... jest jeszcze bardzo wcześnie... na dworze zimno... wróć lepiej do swego pokoju... czekasz listu?...

— Tak... Marto... lecz wracaj już do siebie... ja tu jeszcze chwil parę zostanę.

Widać było, że go obecność córki krępuje.

W tej chwili nadszedł listonosz, lecz niestety, listu nie miał żadnego. Na twarzy Matiasa odmalowało się żywe niezadowolenie.

Przez dwa dni następne, rano i wieczór powtarzała się ta sama scena... Profesor zdradzał niepokój coraz większy... Nie tał wcale, że do listu przywiązywał wagę niezwykłą... Czy miało to jakiś związek z ową podróżą, której skutki były tak opłakane?... Nie wytłómaczył się ani słówkiem.

W trzy dni po owem nieszczęsnem badaniu, około osmej rano do mieszkania Ozolinów wpadł doktor Paulin i oznajmił Marcie, że za parę godzin ma się odbyć pogrzeb Pocha, który bankier Johansen chciał urządzać ze wspaniałością niezwykłą. Kierowała nim nietylę chęć uczczenia wiernego pracownika, który trzydzieści najlepszych lat swego życia stracił na służbie ich domu, ile żądza skorzystania z okazji, mogącej podnieść umysły. Dzienniki niemieckie rozpiszywały się o tym pogrzebie, rozdmuchując niechęć przeciwko profesorowi.

Nieszczęściem, orszak pogrzebowy przechodzić musiał ulicą, przy której mieszkał Ozolin. Władze dom jego kazały obstarwić policją, obawiając się nieprzyjaznych wycieczek ze strony tłumu.

Doktor Paulin był tego zdania, że Matiasa o niczem uprzedzać nie należy. Ponieważ do obiadu zamykał się w gabinecie, którego okna wychodziły na dziedziniec, uniknie zatem niemiłego dla siebie widoku.

Przy śniadaniu nastrój panował bardzo ciężki. Profesor nie wtrącał się do rozmowy i zaraz po spożyciu go oddalił się w milczeniu.

(d. c. n.)

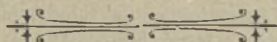


ZE ŚWIATA.

Wybór posłów z Warszawy. Dnia 3 maja r. b. po uroczystem nabożeństwie w kościele św. Jana — wyborcy miasta Warszawy zbrali się w ratuszu i przystąpili do obioru 2 posłów do Dumy państwowej w Petersburgu. Największą liczbę głosów uzyskali: *Franciszek Nowowski*, adwokat przysięgły, były redaktor „Kuryera Warszawskiego” prawnik i literat, „*Władysław hr. Tyszkiewicz*, właściciel Land-iwarowa pod Wilnem, prezes Warszawskiego Oddziału przemysłu i handlu, obaj znani z rozumu i prawości.

Po ukończeniu wyborów w całym państwie podamy listę posłów Polaków.

Zbieracze osobliwości. Anglicy oddali ludzkości duże usługi i wzbogacili naukę znanem swojem zamiłowaniem do poszukiwania osobliwości z czasów przeszłych i teraźniejszych. Przeważną część wykopalisk pochodzenia greckiego, rzymskiego, a szczególnie egipskiego ujrzała światło dzienne dzięki zabiegom i trudom Anglików. Nieocenione zabytki sztuki i zbiory archeologiczne tworzą znane w całym świecie muzea, a bogactwa ich ciągle powiększają dbali zbieracze osobliwości historycznych. W ostatnich dniach pewien Anglik chcąc powiększyć swoje zbiory, a w przyszłości i zbiory muzeum, zwrócił się do rady miasta Moskwy z prośbą o sprzedaż mu jednej z urn wyborczych, za cenę, jakiej rada zażąda, pragnie bowiem zachować pamiątkę pierwszych wyborów do „Dumy państwowej” w Rosyi.



Skrzynka do listów.

Wielka radość spotkała dziś starego ptaka. Odezwwały się do niego dwie korespondentki, które od dawna milczały. Jaskółka myślała już, że może nigdy nie usłyszy o *Jadwiśle* i *Nadobrzance* kochanej. Tymczasem obie napisały takie miłe, takie ciepłe listy, że do ich słów żywiej zabiło moje serce. Bo jestże większa pociecha dla pracownika nad tę, gdy widzi, że jego zasiew kiełkuje, obiecując bogaty plon i że nie został zapomniany? Toż tak być musi, taki porządek rzeczy, pisklęta wyrastają na samodzielne ptaki i mniej już potrzebują rad lub przestróg. Ze świata, od innych ludzi, przychodzą im nieznane dotąd uczucia, więc tracą powoli pamięć o Jaskółce, ale jakaż radość jeśli wśród prac, nowych obowiązków i umiowań, odezwie się w ich sercu wspomnienie starego ptaka, kochającego polską

młodzież tak gorąco, i jeśli przez niego życzliwe słowa przesłał całemu gronu Wieczorów.

Takie właśnie słowa odebrałam dziś i dziękuję za nie najprzód *Jadwiśle*, jedną twą prośbą mnie dotyczącą już spełniłam, drugą zaś spełniam przesyłając całemu gronu «Wieczorów» serdeczne pozdrowienia od kochanej *Jadwiśki*, od tej dzielnej uczestniczki wszystkich konkursów, którą pamiętają dotąd biedne dzieciaki w szpitalu, hojnie pracowitemi dłońmi jej obszyte.

Niemniej miły mi list *Nadobrzanki*, bo ta starszuszka kochana przez lat kilka cieszyła Jaskółkę słowami, w których zawsze brzmiała nuta szlachetnej pracy nad ludem, mimo utrudnień, z jakimi walczyć muszą bracia nasi nad Odrą i Wartą. Szczęść Boże usiłowania twoim, a napisz znów kiedy o tych, których kochasz i o których się niepokoisz.

Z radością odpowiadam na twój list *Czerwona Róża*, bo właśnie przed chwilą szeptał mi mój mały paluszek, a raczej pazurek, jak ptakowi przystało o tem, że ta *Róża* umie być pociechą i dobrym duchem całego domu, że opiekuje się dziećmi i czeladzią. Kwitnij *Różo* na ozdobę polskiej ziemi, co zaś do książek, o które pytasz, to «*Kartofle*» p. Gensówny są w druku, jak też i druga śliczna książeczka tej samej autorki, a *Paniczek* p. Morawskiej ukazał się także w wydaniu książkowym.

Dotrzymaj obietnicy *Leokadyo S.* i pisuj częściej, zawsze z radością odpowiadać będę na twoje listy, mam kilka korespondentek w różnych pensjonatach klasztornych i chętnie czytuję wiadomości o tem, jak tam umiejętnie pracują nad uszlachetnieniem serc swoich wychowanków.

Brawo! *Paskudny Dzieciaku*. Doczekałam się narreszcie pociechy z mojej kochanej poetki. Uderzyłaś więc «w strunę drugą, w czynów stał» cieszą mnie niezmiernie lekcje, które bierzesz, cieszy chęć kształcenia się dalszego. Byłoby krzywdą, nie tylko dla ciebie, ale dla społeczeństwa, gdyby zgnuśnieć miał twój duch w bezdusznem zniechęceniu i żalu. Odżyj *Dzieciaku* razem z wiosną, o której tak ładnie śpiewasz, na radość Jaskółki, bo gorąco pragnę, aby odpowiedział nadziejom, jakie w tobie pokłada stary ptak.

Ciesz się *Bławatko polska* na myśl zobaczenia ciebie i twej siostrzyczki, ale wasza Jaskółka wyfrunęła z Warszawy, list ten piszę, podziwiając drzewa kwiatem okryte i ciesząc się swobodą wsi polskiej. Wrócę jednak jeszcze w maju do mego gniazda, zastać mnie można zwykle między 5—7.

Tak, tak, nicch posłucha co mówię, moja droga Smółka,

Uciekła za lasy, za rzeki Jaskółka,
I na wsi, gdzie kwitnie drzew krocie,
O Smółce rozmyśla, pieszczotce.

Nie mogę spełnić twojej prośby *Ukrainko* z *Zakrzenicza*, gdyż mam inną Ukrainkę, dawną i bardzo zasłużoną korespondentkę, wybierz więc nowy pseudonim. Co do zasuszania roślin, robiłam to zawsze w bibule, ten sposób znasz pewnie, a sądzę że jest najlepszy.

Mylisz się *Biała Lewkonio*, odpowiedziałam na twój list, doskonale pamiętam donosiłaś mi, że brat jest w niewoli japońskiej, mogłabym więc nie współczuć z twojem zmartwieniem, jeśli dotąd mam je żywo we wspomnieniu. Donieś, czy rozłączenie wasze już się skończyło.

Dziękuję za życzenia *Stasiu* z *Ukrainy*, ale czemu nie donosisz nic o sobie, rodzinie, o tem czy dzielisz się z drugimi sercem i nauką. Wiem, że groszem podzielić się potrafisz, pamiętam współczucie twoje dla dzieci więźniów, biedneż bo te dzieci, bardzo biedne!

Wielką zrobiłaś mi pociechę *Sikorko* z *nad Ussy* donosząc, że zdrowi wszyscy jesteście. Być oddaloną od

kraju i dręczyć się niepokojem o chore dzieci, to ciężki krzyż, pod którym ugiąć się można. Czy nie za gorąco w Monte Carlo? My mamy w Polsce cudną wiosnę, bywają prawie upalne dni, fijołki przekwitły już, teraz czekamy na konwalie.

Piszesz, «tyle na mojej biednej głowie myśli i kombinacji» chyba «w mojej biednej głowie», prawda kochana *Zaczytana*? Jakże myśli na głowie mieścić się mogą? zważyby je pierwszy wiatr wiosenny, ja zaś pragnę, żeby moja korespondentka, była statecznym i rozumnym dziewczęciem, skoro zamierza założyć szkołę, a zamiar to bardzo piękny. Trzeba tylko sposobić się do niego wytrwałą pracą nad nauką, a może bardziej jeszcze nad udoskonaleniem własnej duszy, abyś mogła kiedyś być żywym wzorem dla uczennic. Wszystko co piszesz o ciemnocie ludu i o wyzyskiwaniu go przez złych doradców, jest dowodem, jak ojczyzna nasza potrzebuje wiele serc poświęconych i ochotnie służbie narodu oddanych, oby twoje było takim.

Śpieszę z radą *Orle Białe*, bo cieszy mnie twoje zaufanie. Jeśli chcesz czytać powieści historyczne Kraszewskiego, to weź Starą Baśń, Lubonie, Braci Zmartwychwstańców i Masława, z innych Wyspę Atlanty Urbanowskiej, Pamiętnik chłopca w opracowaniu Konopnickiej, wreszcie, Jak się dusza budziła w Józiu, Bukowieckiej. Potem napiszesz mi czy kontent jesteś z wyboru a ja znów chętnie służyć ci będę radą.

Trzy kochane dziobki wyjrzały z karty, to *Wilia*, *Jadwinia* i *Piciunia* przysyłają Jaskółce życzenia świąt, a Jaskółka rada pieśczętą za życzenia odpowiada.

Odnalazłam w dzisiejszym liście moją dzielną kochaną *Miriam*; można na chwilę dać się opanować zniechęceniu, bo i z własną duszą trzeba mieć cierpliwość, ale byłam pewna, że to uczucie przygnębienia minie. Ja sama zawdzięczam wiele szlachetnemu wpływowi twego szanownego ojca, ileż ty od niego zaczerpnąć musiałaś! Bądź godną takiego przewodnika.

Ucieszyłam się wiadomością od ciebie *Podolanko*, bo dawno nie słyszałam nic ani o tobie ani o twojej rodzinie. Czy prędko wrócisz do nas? Co do nadesłanej powiastki, to pomysł jej bardzo ładny, pamiętaj go wyzyskać w przyszłości i rozwinąć pobieżny szkic na powiastkę, którą *Wieczory* wydrukują chętnie.

Na ostatek zostawiłam list nowej korespondentki. Piękny wybrałaś pseudonim: *Potęga uczuć*, to wiele mówi, niech jednak te uczucia będą szczere i nie zaniykają się w ciasnym kole rozmyślań nad własną osobą w sztucznym wątpleniu o szczęściu. Szczęście posiadać może tylko ten, kto własną duszę na wyżyny prowadzi i potrafi uczynić ją niezależną od drobnych powodów, nieuniknionych w każdym życiu. Chętnie i szczerze tulę cię do serca, kiedy pragniesz pieśczęty, ale czy brak ci jej istotnie, czy sama dajesz szczęście swemu otoczeniu?

Odpowiedz na to szczerze i uczciwie

Jaskółce.



Rozwiązanie zadania arytmetycznego z № 15-go.

Grzela posiadał pierwiastkowo 21 kopiejek.

Tratne rozwiązania nadesłali z Warszawy: Mieczysław Stelmachowski, Nina Borawska, Regina Guza, Stanisław Bouffał, Eugeniusz Mierzejewski, Jakób Paganel, Janusz Beaurain, Julek Rittenberg; z innych miejscowości — Marylka Chrzanowska, Mania Bouppert, J. Kalkstejnówna, Niebiańska Marzycielka, Musia Gończarowówna (telegraficznie), Antoś Tański.

Nagrody zgodnie z zapowiedzią przyznaliśmy Januszowi Beaurain i Musi Gończarowównie, którzy pierwsi nadesłali rozwiązania. Prosimy po nagrodę zgłosić się do redakcyi.

Jedna z czytelniczek opatrzyła rozwiązanie zadania taką słuszną radą:

Grzelo, Grzelo, bądź ostrożny,
Naucz się liczenia.

Bo są w świecie ludzie dobrzy
Są i... bez sumienia.



Zamiana kart pocztowych

(za pozwoleniem rodziców.)

Witold Goławski (Wilno, ul. Garbarska d. Zaleskiego m. 13), pragnie korespondować z 11 — 12 czytelnikami «*Wieczorów Rodzinnych*».

TREŚĆ:

Maj (wiersz z ryc.).— Płodność ziemi, przez Edmunda Jankowskiego.— Wspomnienia z lat młodzieńczych, przez St. Br.— W podwalinach, przez Z. Morawską.— Największy z naszych ptaków (z ryc.), przez St. Br.— Koncert nad koncertami (ryc.).— Wśród Łotyszów, przez J. Verne'a.— Ze świąta.— Skrzynka do listów. **Dodatek:** Po wiosnę (z ryc.), przez Stanisława Krauza.— Chronologia Królów Polskich (wiersz), przez Aryelę.— Sprawozdanie z konkursu na kaligrafię.— Feniks i dywan czarodziejski.— Zadania i łamigłówki.

Znajcie mowę rodzinną! Gra towarzyska, dla chcących łatwym sposobem, przy zabawie, nabyć znajomość wszystkich zasad gramatyki polskiej.— Wydanie z literami, pułkami drewnianymi i zadaniami na cienkim papierze rb. 1 kop. 60.— Wydanie z pułkami politurowanymi i zadaniami na grubszym papierze rb. 2 kop. 40.— Wydanie z 72 obrazkami, tańsze rb. 2 kop. 70, na grubszym papierze rb. 3.— Wszystkie wydania w ozdobnych pudełkach z objaśnieniami.— Do nabycia w kantorze wydawnictw *Wiśniakowskiego i Sp.* w Warszawie, Jerozolimska 25 m. 20, oraz w księgarniach i składach zabawek. Handlującym rabat.

Uwaga. Zamieszkaliśmy poza Warszawą wysyłamy za zaliczeniem, każdą zażadana książkę dzieciinną, lub zabawkę. Wystarczy podanie nazwy przedmiotu i przybliżonej ceny.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. 1 kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10. Zagranicą rocznie 13 kor. lub 12 marek. OGŁOSZENIA: po 15 kop. wiersz 1-oszp. petitu. ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Wydawczyni **Marya z Chomentowskich Balińska.**

W drukarni **E. Szyllera, Nowy-Swiat 26.**

PO WIOSNĘ.

Bajka przez Stanisława Krauza.

W pewnej wiosce pod Warszawą była sobie rodzina psów. Ot takie sobie zwyczajne kundle gospodarskie: ojciec zwał się Kruczek, matka Wierna.

Mieli dużo, bardzo dużo dzieci, ale przy nich pozostały tylko dwa psiaki, bo resztę rodu gospodarz porozdawał sąsiadom do pobliskich wiosek. Jeden z tych psiaków, Pstry, był biały w czarne łaty, a drugi, Łatek, był czarny w białe łaty.

Obydwaj mieli już po dziesięć miesięcy i udawali dorosłych. Nie znaczy to, żeby nosili laski i palili papierosy, bo psy tego nie znają, ale szczekały nasze psiaki grubym głosem, jak duże psy, goniły każdy przejeżdżający koło chaty wóz i gryzły się z innymi psami, obrywając nieraz porządnie od nich.

Chociaż już marzec się zaczynał, mrozy jednak jeszcze bardzo dokuczały i życie naszej psiej rodziny nie było wesołe. Gospodarz nie wpuszczał do chaty i trzeba było siedzieć w dusznej stajni lub oborze i jeszcze prosić o pozwolenie konia czy krowy.

Gdy wyszło się na podwórze lub w pole, wnet zimny wiatr zapędzał z powrotem do stajni. Jeszcze gorzej było z jedzeniem. Pomyje gospodyni oddawała mieszkańcom chlewka, a trudno było sobie coś do jedzenia wyszukać. Jednem słowem — smutne było życie w zimie! Nic też dziwnego, że wszystkie zwierzęta a i psia rodzina wdychała do wiosny, czekała z upragnieniem na jej przyjście. Codziennie zbierała

się w południe przed oborą gromadka zwierząt, były tam nasze psy, a zbiegały się na pogawędkę psy inne, zfruwały ze strychu gołębie, zlatywały się wróble i wrony, a nawet kilka kotów z daleka przysłuchiwało się rozmowom.

O czym tam się nie rozmawiało! Wierna opowiadała ciekawe bajki, zadawano sobie zabawne zagadki, obgadywano sąsiadów i gospodarzy. Czasem Kruczek wybiegał w pole, powęszył, powęszył i powracając ze smutną miną mówił: „nie czuć jeszcze wiosny!”

Raz na takim posiedzeniu zabrała głos z obory krowa, Łysula i zaczęła opowiadać o królowie Wiosnie, co chodzi po świecie w zielonym płaszczu i w koronie z polnych kwiatów: jak do jakiej wioski zawita, to zaraz ucieka przed nią Mróz, robi sę ładnie, ciepło, na łąkach zjawia się smaczna trawa (tu krowa aż mla-

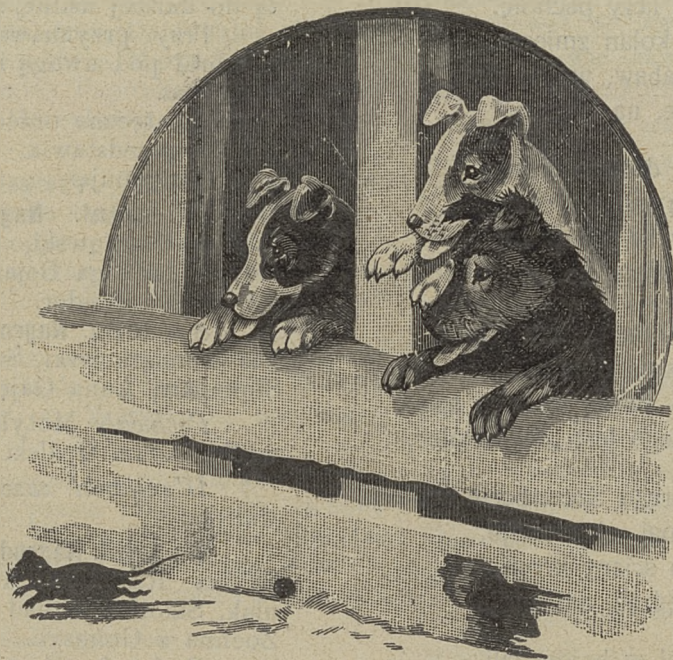
snęła językiem), i tak wesoło, wesoło każdemu!

— Ach i młode myszki polne można łapać wtedy! — westchnął stojący opodal kot Bury.

— Kra, kra, i pędraki chrabąszczów, takie tłuste! — zakrakało jednocześnie z dziesięć wron, grzebiących w śmietniku.

— A czemuż nie przyszła jeszcze do naszej wioski ta dobra królowa Wiosna? — zapytał nagle mały Łatek, uważnie przysłuchując się opowiadaniu Łysuli.

— Ha, bo ja wiem. Stara już jestem, a nie pamiętam, żeby tak się spóźniała do nas, jak tego roku — odparła z głębokim westchnie-



niem krowa — może rozgniewała się na naszą wioskę o co, a może po prostu drogę zmyliła gdzie w lesie. Dobrze się ona musi nabiedzić, ta królewna, zanim zwycięży starego Mroza i za góry, za lasy go wypędził! Może też on — ją tak po lasach i polach wodzi i do naszej wioski nie daje przystępu. A takbym już chciała wyjść z tej dusznej obory, zobaczyć zielone łąki, poczuć smak młodziutkiej trawki!

Na tym skończyła się dnia tego pogawędka i zwierzęta rozeszły się na swoje miejsca: gołębie na strych, wrony poleciały na inne podwórze, szukać pożywienia w innym śmietniku, psia rodzina w najcieplejszy kąt obory.

(d. c. n.)

Chronologia Królów Polskich.

Bolesław Krzywousty (1102 - 1132).

Dziewięć lat liczy pacholę,
Do rodzica kolan zmierza.
„Nie chcę zabaw, wojnę wole,
„Pasuj, ojczy, na rycerza!“

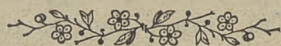
Ujął oręż w drobne dłonie,
Skrą migocą mu się oczy,
Serce męstwem bije w łonie,
Fale krwi gorącej toczy.

W lat szesnaście berłem włada,
I gotuje słuszną dołę
Niemcom: — burzą na nich spada,
Świadkiem tego jest „Psie Pole“.

On z Chrobrego Szczerbcem w dłoni,
Nie zna trwogi, ni spokoju,
Kraju swego ściany broni,
Sił nie szczędząc, ani znoju!

Jak archanioł w bojów fali
Wielbion sercem, wielbion usty,
Był to rycerz, jak ze stali
Nasz Bolesław Krzywousty!“

Aryela.



SPRAWOZDANIE z konkursu na kaligrafię.

Prób pisma 135, nagród 33, pochwał 42, wzmianek zaszczytnych 18.

Z waszych prac i usiłowań
Niesiem plon —

Czytelniczki, czytelnicy,
Z różnych stron.

Więc czytajcie, jak konkursu
Wypadł sąd,
I zachęte w dalszej pracy
Czerpcie stąd...

Sąd konkursowy, zebrany w redakcyi „Wieczorów Rodzinnych” w dniu 1-go maja po rozpatrzeniu wszystkich prac, nadesłanych na konkurs kaligrafii przekonał się, że próby pisma w tym roku są na ogół mniej dobre niż lat poprzednich. Nie wiemy, czemu to przypisać, ale trudno o tem zamilczeć, że w roku zeszłym było więcej prac, zasługujących na nagrody.

W wielu próbach, któreśmy otrzymali, widać było małą staranność, brak schludności i niedbalstwo.

Inni znów, choć się starali, ale nie przestrzegali zasad kaligrafii, stąd nadeszło do redakcyi koło dwudziestu prac, które sprawiały wrażenie, że były pisane szpilką a nie piórem.

Jeszcze inni uważali, że im napiszą mniej szemi literami, tem lepsza będzie ich kaligrafia, a tymczasem stało się naodwrot.

Pomimo wspomnianych uchybień zasługujących na nagrody okazało się prac 33, na pochwały 42 i na wzmianki zaszczytne z zachętą do dalszej usilnej pracy 18.

Przy przyznawaniu nagród i wyróżnień sąd brał pod uwagę również wiek uczestników konkursu.

Ostateczne orzeczenie sądu konkursowego tak się przedstawia:

Otrzymują:

7-o letni. Nagrody: Elżunia Weinreich, Wacjo Uramowski, Dorek Puławski, Gastus Geyer, Jadwiga Bojanowska, Władek Popławski, Stefan Binder.

8-o letni. Nagrody: Józio Malinowski, Urbaś Siemiątkowski, Stasia Uramowska, Wacław Słomiński, Anna Gajcy.

Pochwały: Motylek z Gończyc, Tadzio Ka-weeki, Adam Opalski, Wicus Olbracht.

Wzmianki zaszczytne: Bezimienny, Konwalijka.

9-o letni. Nagrody: Halina Packiewiczówna, Sabina Rządiewiczówna, Franciszek Ludwiniak, Sikorka z nad Ussy, Rena Czosnowska, Zochna z Gończyc.

Pochwały: Zosia Tymowska, Maryan Michalski, Renia Kowalska, Mania Świeżyńska, Tadeusz Bojanowski.

10-o letni. Nagrody: Malwina Rduktowska, Józio Pfanhauser, Helena Przyważanka.

Pochwały: Młoda Sarna, Skrzyszewianka, Konrad Opalski, Żmujdzinka z nad Szawszy, Paprotka Leśna, Witold Pogorzelski, Marylcia Dzikowicka.

Wzmianki zaszczytne: Henryka Konarzewska, Polna Różyeczka.

11-o letni. Nagrody: Helena Rządiewiczówna.

Pochwały: Irenka Siemiątkowska, Anula z Kielc, Stanisław Bojanowski.

Prócz prac nadesłanych bezpośrednio do redakcyi „Wieczorów” otrzymaliśmy również kilkadziesiąt prób pisma uczniów i uczennic

zakładu naukowego pani K. Wszystkie te prace sądzone były oddzielnie i przyznane zostały następujące odznaczenia:

6-o letni. Nagrody: Henia Koiszewska.

7-o letni. Nagrody: Włodzio Drecki.

Pochwały: Zosia Koiszewska, M. Geistman, Jerzy Piestrzyński, Mania Świątkowska.

Wzmianki zaszczytne: Mania Wilantowicz, S. Kozłowska.

8-o letni. Nagrody: Mania Rakowska, Jadwiga Oberżanka.

Pochwały: Franciszka Kozuchowska, Jadwiga Buyno, Marya Bernatowicz, E. Taus, Rozalia Steinbokówna.

Wzmianki zaszczytne: Alina Listowska, Stefcia Wilantowicz.

9-o letni. Nagrody: Zofia Brzezińska, Jadwiga Kamińska, Jadwiga Przybyłowska, Zofia Ruszkowska,

Pochwały: Jadwiga Czuchowska, Florentyna Obielecka, Jadwiga Orębowska, Zofia Rutkowska, Elżbieta Bienkowska, Jadwiga Zielińska, Jadwiga Kostecka.

Wzmianki zaszczytne: Marya Wojcikówna, Stefania Rakoczy, Józefa Wojciechowska, Józefa Michcińska, Helena Steinbokówna, Aniela Sawicka.

10-o letni. Nagrody: Eugenia Umińska, Lucyna Szeryńska.

Pochwały: Stanisława Daniewska, Helena Zamojska, Irena Gumińska, Marya Nowakowska.

Pochwały: Janina Papińska, Rozalia Prezesówna, Rozalia Horenkrieg, Apolonia Wyrebowska.

11-o letni. Nagrody: Janina Wilantowicz.

Pochwały: Józefa Guziak, Cecylia Zielonka, Stanisława Zamojska, Marya Gumińska.

Wzmianki zaszczytne: Genowefa Goldwasser, Salka Dynerman, Eugenia Szczerbińska, Felicya Sternstrait.

Wszyscy wyróżnieni *nagrodami* winni się zgłaszać po ich odbiór do redakcyi „Wieczorów Rodzinnych“ w Warszawie, ul. Mazowiecka № 10.

Dla mieszkających w prowincyi najlepiej odbierać nagrody przez okazyę. Na żądanie jednak redakcyi „Wieczorów“ może przesłać nagrody pocztą za zwrotem jedynie kosztów przesyłki w ilości kopiejek dwunastu (markami).

FENIKS

i Dywan czarodziejski.



(Ciąg dalszy.)

Zawirowało—zakołysało się wszystko. Znikł palmowy gaj, miedzianoskórzy chłopcy z pawimi piórami. Wionęło przeraźliwem zimnem, i Antea znalazła się w domu, w kuchni na podłodze; kucharka stoczyła się z dywanu na ziemię: oczy ze strachu zamknęła, białe kwiaty, strojące jej głowę, pogubiła w drodze...

Antea porwała dywan i zaczęła co tchu uciekać do łóżka, z wielką obawą, żeby nie spotkać kogo na drodze. A kiedy już była na piętrze, posłyszała przeraźliwy krzyk kucharki. Pewnie w tej chwili zdetronizowana królowa otworzyła oczy i zobaczyła, że jest napowrót—w kuchni.

Robert pierwszy zszedł na śniadanie, lecz zaraz powrócił na górę, zdyszany, przynosząc wiadomość, że... kucharka wróciła! Wprawdzie bez czepka i boso, ale naprawdę wróciła we własnej osobie. Cyryl i Kizia osłupieli ze zdumienia, tylko Antea przyjęła spokojnie tę wiadomość i wyrzekła tajemniczo:

— Nie można było inaczej... To był nasz obowiązek...

Ale nie chciała nic więcej powiedzieć. Pomimo, że w całym domu wrzało jak w ulu skutkiem zdumiewającego wydarzenia, Antea milczała uporczywie.

Wyprawa do Indyi.

Ta mateczka to taka kochana, miła i kochająca—i taka ogromnie dobra kiedy kto chory, a nawet w zwyczajnych czasach bardzo dobra i prawie zawsze sprawiedliwa, a nawet zawsze. Ale naturalnie, nie zawsze może to wiedzieć. Niema na świecie takiego człowieka, który mógłby wszystko wiedzieć i rozumieć, a i matki nie są aniołami, chociaż bardzo są do aniołów podobne. Dzieci zrozumiały to dobrze, że matka chce zawsze dla nich jak najlepiej, choćby nawet niezawsze wiedziała, co dla nich najlepsze. I dlatego wszystkie — a szczególnie Antea — były strapione tem, że ukrywają przed matką tajemnicę — wielką tajemnicę dywana i Feniksa. Antea, która miała duszę wrażliwszą niż reszta dzieci, postanowiła powiedzieć matce prawdę — całą prawdę — choć słaba była nadzieja, ażeby matka zechciała uwierzyć.

Tajemniczy wypadek z kucharką udręczył serce Antei. Bo niema co tać. Powrót kucharki — bez czepka i boso — nie rozjaśnił tajemnicy, a dał powód do bardzo niesłusznych podejrzeń. Nie powtarzam już tego co mówiła Eliza: — ale kiedy kucharka zaczęła opowiadać, że była królową i że ją dzikusy wachlowały pawieni piórami, w kraju gdzie słońce pali jak ogień, a piasek świeci się jak złoto, mamusia wpatrywała się w nią z niepokojem. A kiedy kucharka dziękowała znów za służbę, mówiła, że nie chce dłużej być w domu, gdzie takie dziwne sny ludzi przesładują — ojciec powiedział mamie bardzo stanowczo:

-- Proszę cię nie zatrzymuj tej kobiety! Widocznie brakuje jej jakiejś kleпки w gło-

wie. Niech lepiej odejdzie, zanim zwarzuje do reszty...

Kucharka odeszła, Antea coraz więcej niespokojna postanowiła wyznać mamie wszystko mówiąc: — Powinnam zrobić — bo to jest moim obowiązkiem. — Zwierzyła się też z tem Feniksowi — a jeżeli mama nie uwierzy, to już nie z mojej winy.

— Niezawodnie! — odparł złoćisty ptak. I nie uwierzy z pewnością. Więc możesz powiedzieć wszystko bez niebezpieczeństwa.

Antea wybrała do tego chwilę, kiedy miała przygotowywać się do lekcji: była tego dnia algebra, łacina, niemiecki i angielski — zapytała mamusi, czy może odrabiać lekcję w saloniku — żeby mieć zupełny spokój. — Ale w duszy pomyślała:

— Naprawdę nie idzie mi o to. Ale mam nadzieję, że pomimo to nie jestem kłamcą.

Mama odpowiedziała:

— I owszem, moje dziecko.

Antea zaczęła przebierać się przez morze X, Y i Z-etów, mamusia siedziała przy swoim biurku i pisała.

— Mamusiu kochana! — zaczęła Antea.

— Co takiego, koteczku?

— Bo to o tę kucharkę — wyjąkała Antea. Ja... ja wiem gdzie... gdzie ona była...

— Doprawdy? — zapytała mamusia — Mniejsza oto. Nie trzymałabym jej za nic po tem co się stało.

— Kiedy ona temu nie winna — tłomaczyła Antea. Czy mogę mamusi opowiedzieć wszystko, od początku?

Mamusia położyła pióro, a jej śliczna twarz przybrała wyraz rezygnacji. Kiedy widzicie taki wyraz na twarzy starszych osób, zwykle odejmuje to wam odwagę.

— To było tak: — zaczęła mówić z pośpiechem Antea. — To jajko — mamusia pamięta — co to wypadło z dywana? Włożyliśmy je w ogień i wyklął się z niego Feniks, bo ten dywan był zaczarowany, i...

— To bardzo ładna bajeczka — moje dziecko! — przerwała mamusia, biorąc napowrót pióro do ręki. — A teraz siedź już cicho, bo mam dużo listów do pisania... Wiesz przecie, że jutro wyjeżdżam z Jagnięciem do Bournemouth do morskich kąpiei, a jeszcze ten bazar...

Antea zajęła się swojemi X. Y. Z — ma-
my pióro skrzypiało po papierze...

(d. c. n.)



Zadania i łamigłówek.

LOGOGRYF


ułożyła Grażyna.

Z sylab: al—az—chi— dwi— e— fred— ga— gia— harc—ja—i—krym—ki—kuc— kez— li— la— ml— nie— nor—no—nów—o—o—pium—ra—ro—su—tek—we—wał— wi; ułożyć należy 14 wyrazów tak, aby początkowe i końcowe ich litery czytane z góry na dół złożyły imiona i nazwiska dwóch wielkich poetów polskich.

Znaczenie wyrazów: 1) Imię żeńskie. 2) Imię męskie. 3) Państwo na północy Europy. 4) Półwysep w południowej części Europy. 5) Środek trujący, wielce rozpoznańszy w Chinach. 6) Rzeczpospolita w Ameryce Południowej. 7) Góry w Niemczech. 8) Człowiek z zanikającego plemienia w Ameryce północnej. 9) Kobieta, wspomniana w biblji. 10) Rzeka w Afryce południowej. 11) Wieś pod Warszawą. 12) Miasto w Królestwie Polskiem. 13) Gatunek konia. 14) Nazwa plemienia indyjskiego z Ameryki południowej.

Zadanie konikowe

uł. Jasio Korecki.

kiem	sie	de
prze		bacz
na	wszyst	bie

Szarada - rebusowa

uł. Olgierd Zabiełto.

W samogłosce całe lasy

Są u nas w obecne czasy.

Choć mógłby kto zacząć spory,

Że nie lasy to, lecz bory...

Rozwiązania łamigłówek z N-ru 17-go.

Rebusa: Herbatę dostarczają do nas łądem i morzem.

Przypowieść wschodnia.

Do Mahometa, jako przystoi,
Ze czią przystąpił młodzieniec nieśmiały
— «Pomarli — rzecze — rodzice moi.
Chciej mię pouczyć; czy nie ustały
Me obowiązki względem nich wszelkie?»

— O nie! zostały cztery i wielkie:
Do Boga modły wznosić za niemi;
Długi ich wiernie spłacać na ziemi;
We czci zachować, co szanowali;
Strzedz od ruiny co zbudowali!

Roman Zmorski.

Przeplatanki literowej: Nikt się pływać nie nauczy, komu się wody nie naleję w uszy.

